

Pierwszego sierpnia Romek, mój narzeczony, był umówiony ze swoim dowódcą, Stefanem Rysiem. Ja sama u jego rodziców na Książęcej czekałam na wiadomości. Dwa dni wcześniej dostaliśmy informację, że pierwszego sierpnia z całą pewnością nie będzie powstania. Romek przyszedł jeszcze przed spotkaniem. Kiedy wszedł, zaczęła się strzelanina. Ulicą Rozbrat jechał czołg i strzelał, a Książęcą szedł oddział własowców z psami. Wszyscy zeszli do piwnic, a my z Romkiem uciekaliśmy takim rowem na tyłach Instytutu Głuchoniemych. Psy złapały trop, własowcy ruszyli za nami. Pomylił się drzwi i zamiast do oranżerii, wpadliśmy do kibla. Nie było jak dalej uciekać. Zmusiłam Romka, by przysiągł, że żywej mnie nie odda. Mieliśmy krótką broń, każdy swoją. Postanowiliśmy trochę postrzelać, a potem zastrzelić się nawzajem. Własowcy robili straszne rzeczy z kobietami. Wyjątkowa swołocz. Tuż pod tymi kiblami psy najwyraźniej jednak straciły trop. Chcę wierzyć, że zapach polskiego sracza uratował nam życie. Potem, znów dzięki zbiegowi okoliczności, trafiliśmy na kolegę Romka z podchorążówki, później, dzięki niemu, do oddziału dowodzonego przez szkolnego kolegę Romka. To ważne, bo my przecież do tego powstania byliśmy kompletnie nieprzygotowani – ani nie wiedzieliśmy, gdzie mamy się zameldować, ani nawet jakie jest hasło. Teoretycznie mógł nas rozwalić byle kto. W końcu udało mi się dotrzeć do „Iranka”, u którego przez tydzień byłam łączniczką. Ale wyblagałam go z płaczem, że przecież nie po to mnie szkolili, wydawali na mnie pieniądze, żebym ja teraz jakieś papierki nosiła, że to bez sensu. Chyba chcieli mnie jakoś chronić, ale w końcu „Iranek” mnie zwolnił. Dołączyłam do batalionu „Kiliński”, do którego, nie wiedząc, co z nami począć, przyłączono całą naszą grupę. Ale odchodząc od mojego dowódcy, przezniosłam przepustkę nr 2 ze sztabu. W powstaniu bardzo dobry papier. Myśmy byli wszyscy uzbrojeni, nas nie kochano za to, że mieliśmy broń, że byliśmy dobrze wyszkoleni, że strzelaliśmy lepiej od innych. Że nie malowaliśmy tych idiotycznych białoczerwonych pasków na hełmach i że nie nosiliśmy opasek. Z naszego punktu widzenia to był czysty kretynizm. Myśmy byli ubrani po niemiecku. Mieliśmy zabijać, a nie być celem. Po jakimś czasie sytuacja trochę odtajała, z panem porucznikiem „Szarym” poszliśmy do naszej organizacyjnej skrytki i przynieśliśmy do oddziału sporo broni, amunicji, granatów. Wkupiliśmy się. Na początku powstania w każdym razie nie byliśmy lubiani. Potem to się oczywiście zmieniło, powstała więź, której nie da się z niczym porównać. Ponieważ mieliśmy broń i amunicję, walczyliśmy niemal bez przerwy. Schodziliśmy ze stanowisk i spać. Nawet hełmu nie zdejmowałam. Byłam strzelcem, przez pewien czas dowodziłam grupą, kiedy dowódca został ranny. Piosenek powstańczych nauczyłam się dopiero w obozie. Nie przypominam sobie, żebym wcześniej jakąkolwiek słyszała. Strzelałam jak wszyscy, specjalizowałam się też w odrzucaniu granatów. W ogóle się nie zastanawiałam. Niemcy rzucali je, nie czekając po odbezpieczeniu. A to przecież do wybuchu całe cztery sekundy. Nie pamiętam tego, czego nie wolno pamiętać, inne rzeczy – bardzo dobrze. Razem z innymi strzelałam do Niemców, ale dwóch zdjęłam świadomie, uważnie, z premedytacją. Jeden miał stanowisko na Mokotowskiej przed BGK, tam była ostatnia barykada. Jakiś chłopiec przeszedł złą stroną, gołąbciarz ranił go w brzuch. Przeskoczyłam przez barykadę, przeniosłam dziecko, pułkownik „Lot” operował, chłopak

podobno przeżył. Wściekłam się na tego szkopa, poszłam i go zdjęłam. I tyle. Drugiego zastrzeliłam za mojego Romka.

*Fragment rozdziału 2. Magda Rusinek. Po poręczy*